

**ELIZA
ORZESZKOWA**

DAJ KWIATEK

Eliza Orzeszkowa

Daj kwiatek

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843322

Daj kwiatek:

Аннотация

Historia życia Chaity – o tym, jak życiowe zakręty doprowadzają człowieka na skraj nędzy i ubóstwa. Bohaterką utworu Daj kwiatek jest stara kobieta, łachmaniarka, która przechadza się ulicami Ongrodu. Chaita, o której mowa w tekście, nie zawsze trudniła się poszukiwaniem szmat. Urodziła się na wsi i jako ładna, młoda dziewczyna została wydana za mąż za ubogiego mężczyznę, którego majątek stanowił wóz i koń. Co sprawiło, że kobieta spędza ostatnie lata swojego życia na ulicy? Dowiedcie się z noweli Elizy Orzeszkowej Daj kwiatek. Autorka przedstawia czytelnikom historię biedaczki, uzasadniając to chęcią dogłębnego poznania losów ludzi niemających środków do życia i tego, co doprowadziło ich do takiego punktu. Wiedza ta jest dla literatów szczególnie cenna i stanowi źródło ich mądrości. Eliza Orzeszkowa jak nikt inny potrafi opowiadać ludzkie historie w sposób realistyczny, unikając oceniania.

Eliza Orzeszkowa

Daj kwiatek

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie państwo starą tę kobietę, powoli, z trudnością przesuającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jój odzież, do których też przypiera ona niekiedy zgarbione swe plecy, – stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującymi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała w sposób podobny, wśród tłumu, spychającego ją na miejsca ostatnie i najmniej wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domowstw miejskich. To też popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzecz można, w łęk zgięta dość wysoka jednak jój postać, jak wychudłą i malutką stała się twarz jój, okryta zgrubiałą i ciemną skórą, jak żółkły i pomiędzy sterczące kości policzków głęboko wpadły jój wargi, jak spłowiały oczy jój, czarne snadź niegdyś, i jak

nad spłowiałemi źrenicami temi drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, malutka powieka. A na czole jój nizkiém, ciemnem, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, w kurzu i natłoczeniu, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, zwolna lecz ciągle mięła ją i wygniatała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tém włosów niewidać, bo głowa kobiety owinięta jest chustką, która, pomimo starości swój, zachowała jeszcze barwę gorącej żółtości. Ciemne centki rozsiane są po żółtém tle tej chustki, końce jój, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami, na rękawach, plecach i piersi. Stopy jój, kroczące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie skórzane obuwie i sine wełniane pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spódnicy krótkiej przybranój u dołu w strzępy różnej długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niój przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo kobiety tej? Ja znam ją z blizka. Imię jój Chaita, zawód – łachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczycie mi państwo, że zaznajamiać was śmiem z osobą, zajmującą tak nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiecie mi, że jest to nieprzyzwoitém i całkiem niepotrzebném z méj strony? Bo naprawdę, cóż wspólnego być może pomiędzy wami a łachmaniarką? Ze wstrętem nawet i pewną urazą ku mnie wymawiacie wyraz ten...

Przebaczcie! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka,

ścista, nierozzerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i – raz jeszcze przepraszam państwo – ale i wasza także. Jest to prawda, przeciw której żaden wstręt, pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana, pełen złocien i ozdób, żaden giest białej dłoni, pełnej pierścieni i wzgardy – nic nie mogą. Co się zaś tycze niskiego stanowiska, jeżeli-by wysokości stanowisk ludzkich mierzonymi bywały wedle przeniesionych cierpień i mozołów, upewniam państwo, że Chaita, łachmaniarka, stała-by na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jej... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonymi czołami i drżącą, żółtą powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiałe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznej jakiejś galeryi obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży, i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jej źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jej, uwiedłych i wklęsłych, i zapytywałam ją w myśli méj: jaką byłaś za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoją, nim zawiodły cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak

bardzo, jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą niema w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest ono wcale bezinteresowném. Znajomość bowiem wielu, wielu historyi podobnych stanowi dla człowieka – bogactwo serca, dla pisarza – żywy źródł wiedzy. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyi takich nie ciekaw jest i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palcie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? – była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadój twarzy, z kruczym warkoczem i czarném okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśleć o blaskach, upałach i rozkoszach wschodniego nieba. Urodziła się we wsi – za pozwoleniem państwa – w karczmie. Była to malutka nawet karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niéj słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości, szerokie niwy białały w zimie puszystém pośłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, śród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje, kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od światła jutrzenki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznemi

drzewami i barwisty mnóstwem kwiatów. Należał on do dworu, którego téż własnością była biedna mała karczemka, dzierzawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierzawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił téż synów i za mąż wydawał córki, jak mógł – nie zbyt świetnie zapewne. Chaite, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu téj ostatniej, przez całe życie wyglądał, jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białymi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnej zamieci.

Chaity, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w której wysokich trawach sypiała niegdyś godzinami całemi, ogrzewana słońcem majowém, a ochładzana gałęzmi rozłożystego głogu, które, powiewając nad nią niby wachlarze, szeptały wciąż do jéj ucha niewyraźne jakieś, łagodne, marzące powieści; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwiste swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z niém kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnymi gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonej w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem

chowala się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jej było wejść czasem, pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić i na prześliczne kwiaty, rosące w nim, z zachwytem popatrzeć. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w której stajni beczało kóz kilka, serdecznych jej przyjaciółek, w której ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłej twarzy i cierpiącym, łagodnym wejrzeniu, a przed której progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornej wydobywał ze skrzypiec nieuczzone, niesforne, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na niskiej ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białej mgłę, kłębiącej się po łąkach, na kształt wód, kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jej nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli na pewno, czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Mgła, tak gęsta, jak ta, która podnosiła się nad łąkami, tylko nie tak do rozwiania łatwa, stała pomiędzy oczyma ducha ich, a światem. Jednak tęsknili za czymś, czegoś pragnęli, czegoś im było żal i lęk... Żalowali tego może, czego nigdy posiadać nie mieli, przeczuwali może ciężką przyszłość... Gdy brat Chaity grał coraz przeciągłej, coraz smętniej, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu zasłuchane twarze; w ciemnej sionce matka wzdychała głośno, a ojciec, z długą, rudą brodą i okiem posepnym nieco pod zbrudzonym czołem, modlił

się w izbie przed oknem, coraz głośnieją, coraz żarliwiej, coraz jęśliwszemi i śpieszniejszemi zawodzeniami...

Wraz z pierwszym wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tém wszystkiém Chaita, a może i z czémś więcej jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad któremi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącej zwieszona, ukazały ognistym, szeroko śród marzenia rozwartym jój oczom urodziwego młodzieńca jakiego, z miękką dłonią, namiętнім okiem, a czołem jaśniejącém mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jój opowiadał jój braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królowną, aby marzyć o szczęściu... Marzą o niém może i te bosonogie żydóweczki w podartėj odzieży, które widujecie czasem państwo w pobliżu brzydkich karczemek, gdy, siedząc na wilgotnych łąkach, zatapiają w głębie mętnych sadzawek spojrzenia leniwe sennych swych oczu...

Szczęście! *Quel animal est-ça?* – mogła-by dziś, gdyby umiała po francuzku, zapytać Chaita. Ale ona nie umie po francuzku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: „Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!”

Miasto porwało ją – jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z niemi pociągniętą została w wir nieustanny i nieubłagany, śród którego stopy stopom zazdroszczą każdej piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradać

usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okruczę pożywienia, ramiona stykają się i popychają wzajem, czoła goreją od znoju, serca twardnieją, brudzą się i więdną od widoku twardych kamieni, brudnych murów, uwiedłłych twarzy, nad którymi nie brzmia i nie przelatują żadne kojące i pocieszające, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieszczoty, swobodnej, świeżej przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jój wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiej pracy dopomódz; dzieci, które otaczały ją coraz liczniejszym gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóstwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, którymi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety, garbatěj z przodu i z tyłu; potem roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jój kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potem jeszcze...

Lecz nie będę opowiadać dłużej, czém była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jedną tylko rzecz powiedziéć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz – na ów cmentarz izraelski, który tam, o wiorstę od miasta, na piaszczystym gruncie, wśród niskiego, ceglanego ogrodzenia, sterczy lasem czerwonych kamieni. Chaita chodziła często na piaszczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsł się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaita, zanosila się zwykle od płaczu; a kiedy potem z

przechadzki téj do domu wracała, piaszczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcej. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata jój, który był dla niej bardzo dobrym, matki, mieszkającej przy niej na starość, syna, który brylantem był w wypłakaném jój oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jój wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita, przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zobojętnieli... wśród własnych trosk i licznych przywiązań, zapomnieli o niej...

Jest ona samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet, wyrzucone przez okna domowstw, stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łoży uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i – żyje...

Wyobrażacie sobie państwo zapewne, iż żyje ona bez wszelkich już pociech i przyjemności, że nic na świecie całym niéma, coby zgasłe oko jój rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiędłe wywołać uśmiech pieścziotliwy, niemal radośny? Mylicie się! Spójrzcie teraz na Chaitę, gdy zgięta pod ciężarem kosza swego, przesuwana się brzegiem ulicy, podartym kaftanem swym ściany domostw wyciera, a płytkie obuwie jój co chwila o ostry kamień zaczepia się i z nóg jój spada, tak, że zatrzymuje się i z gniewném mruzeniem coraz w nie na nowo stopę swą w siniej pończosze wsuwać musi. Spójrzcie teraz na nią! Podniosła nieco głowę w żółtej chustce, oko jój strzeliło iskrą prawie gorącą –

uśmiechnęła się i chrapliwym, dygocącym głosem zawołała:

– *Chaimkie!* nu! *Chaimkie!*

Mały, sześćoletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał jój wołanie, przypadł do niej, zarzucił oba ramiona na schyloną jój szyję, pocałował głośno zmarszczone jój czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych *inexprimablach* i zielonej bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba było; portretowi jego, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jój wnukiem po najmłodszej córce, po tej właśnie, która przez czas krótki kwitła, jak róża, w kolczatym wieńcu jój życia. Śmierć związała z ziemi różę stariej łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jój obraz w pozostawioném przez nią dziecięciu. Chaimek miał włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłej, bladawej twarzy. Chaimek był ładnym dzieckiem. Czy uważaliście to państwo, że wszystkie, bez wyjątku prawie, dzieci izraelskiego plebsu, w pierwszych latach dzieciństwa bywają bardzo ładne? Potém stopniowo twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się z wyrazem gapiowatego osłupienia. Wyrostki i podlotki posiadają

już najpowszechniej pozory chorobliwości i leniwego znękania. Nie wiem, co właściwie obiera je tak szybko i nieubłaganie ze świeżości i wdzięków. Czy widzieliście państwo kiedy mieszkanie ich rodziców? Czy zbadaliście wraz z uczonym niemieckim, twórcą *traktatu o żywności*,

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.